ŚWIATŁO

Rok VII. Bytom G.-Sz., 1. Października 1893. Nr. 19.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

RYCERZE Z BLANIKU.

KARTKA Z KSIĘGI LEGEND CZESKICH.

II.

Nad zamkiem Rozenbergów rozpięła noc Czerwcowa ciemno-błękitną, przejrzystą, milionem gwiazd dzierżganą oponę. Księżyc płynął nad górami, zbliżając się ku warowni, coraz większy, coraz jaśniejszy.

W komnacie swojej, w wieży narożnej, do której przypierał pierwszy mur obronny, stała Ludmiła w rozwartem oknie, oparta głową na słupie marmurowym, dźwigającym ostrołuk. Zwrócona twarzą w stronę prastarej, królewskiej Pragi, puściła wodze młodym myślom swoim i tęsknym marzeniom.

Wspaniała cisza panowała wokoło. Tylko lipy szumiały pod oknami, oddychając wonią rozkwitających pąkówek, tylko potok dzwonił u stóp skały o kamyki. Czasem wypłynął ptak nocny na miękkiem skrzydle z wieży zamkowej, lub odezwało się wołanie giermków, czuwających na murach, albo z doliny, z obozu taborytów, doleciało echo rżących przy żłobie koni.

Żyszka nie uderzył natychmiast na Austi, jak się spodziewano. Pozwolił on ludziom swym wypocząć, wiedząc, że ich pod murami Rozenbergów czeka twardsza praca, aniżeli przy szturmowaniu innych, mniej warownych grodów. I zamkowa załoga spała, aby nabrać sił do jutrzejszej rozprawy.

Lecz smutek serca dziewiczego spłoszył sen z powiek Ludmiły.

Dwa lata temu, w wielkiej sali, w pałacu Rozenbergów w Pradze, odbywały się gody rycerskie. Wśród młodzieży zwrócił na siebie uwagę całego towarzystwa młody wojownik. Imię Zygmunta dano mu na chrzcie św., a panem był z Janowa.

On wrócił co dopiero z uniwersytetu oksfordskiego, gdzie czerpał u samego źródła nowości, które zwolennicy Husa w Czechach rozgłaszali. A czerpał tak obficie, że się usta jego przelewały mądrością ewangelii wiklefowej.

Starsi i rówiennicy słuchali go z uwagą, bo bardzo gorące były słowa jego, a Ludmiła, siedząca obok ojca, zatrwożyła się.

Odtąd bywał młody rycerz częstym gościem w pałacu Rozenbergów. Uczu-

cie bojaźni, które zapełniło zrazu serce Ludmiły, ustąpiło niebawem słodkiej błogości. W samotnej, cichej godzinie nachyliły się myśli dwojga młodych ludzi ku sobie, złączyły się dłonie, a usta wyszeptały dozgonnej miłości przysięgę.

Lecz szczęsne to śnienie stargało groźne wołanie strasznej burzy, bo nad dziedzictwem św. Wacława zahuczała przeraźliwa trąba wojny domowej. I podniósł brat dłoń na brata, i syn na ojca, i krewny na krewnego. Tu wołano »kielich i tabor« — tam »cesarz i papież«. Wśród takiej wrzawy zamilkły rzewniejsze uczucia. Dziewice zapomniały o miłości, matki o szczebiocie dziatwy, a młodzieńcy o marzeniach. Wszędzie trwoga, jęk, zagrzewanie do boju, lub przekleństwa.

Zygmunt Janowski przyłączył się z chorągwią swoją do hufców Żyszki, a Ludmiła, odcięta przekonaniami swej rodziny od wierzeń ukochanego, czekała daremnie na zgodę mordujących się nawzajem dzieci tej samej ziemi.

— Gdzież on teraz? Czy myśli o swej Lidunce, którą uroczemi opiewał zwrotkami? Czy łoskotem straszliwej ogłuszony wojny słyszy jeszcze serdeczny szept niedawnych wspomnień? A może on niedaleko, może on przybył z dzikimi taborytami, może ostrzy w tej chwili miecz, aby nim przeszyć brata mego pierś lub stryja?...

Ludmiła zadrżała. Splótłszy ręce na dłonie, spojrzała w niebo. Na źrenicy jej rozbłysnęła wielka, zimna łza. Kropla z serca dziewiczego staczała się wolno po wybladłych licach, a z nią uchodziły tęsknoty.

— On wrogiem rodu mojego, — przemówiła z mocą, — on nieprzyjacielem wiary przodków moich, on i moim być musi, być powinien prześladowcą. Jam ojca mego krwią...

A jednak...

A jednak zakryła twarz dłońmi, żaląc się niemocna, — o Boże, mój Boże...

Jakiś szelest odezwał się u stóp muru obronnego. Ludmiła zadrżała, cofając się w głąb komnaty.

Po chwili rozległ się cichy dźwięk lutni, a jeszcze cichszy głos męzki wtórował:

»Pytałem się gwiazdek, pytałem się fal,
Gdzie luba moja przebywa?
Mrugnęły gwiazdki, odparły mi fale:
Luba jest zawsze przy tobie«.

Zamilkły struny, a głos wyszeptał śniącego listka szelestem:

— Lidunko moja!

Choć głos był tak cichy, że dopłynął zaledwie na skrzydłach powiewu nocnego do ucha Ludmiły, uderzył jednak tak potężnie o struny jej serca, że się córka Rozenberga zachwiała przed kochanką Zygmunta z Janowa.

Ale wahanie to trwało tylko kilka chwil. Zbliżywszy się do okna, pochyliła się Ludmiła w stronę głosu i odparła równie cicho:

— Niewłaściwą porę wybrałeś do śpiewów i żalów miłosnych, panie z Janowa, i niewłaściwe miejsce. Nie dźwięków lutni tam potrzeba, gdzie anioł śmierci na obfite czeka żniwo. Niech Matka Najświętsza przebaczy tobie i towarzyszom twoim, żeście królestwo czeskie zamienili na straszne cmentarzysko

A z dołu odpowiedział głos:

— Nie śpiewać pod oknami kochanki przyszedłem dziś, Ludmiło z Austi, bo konający nie znają zwrotek miłosnych. Jam taboryta, w krwi braci moich brodzę od roku i karmię się dymem płonących miast i wiosek. O, serce me zapomniało już, co to miłość.

Głos zamilkł, westchnął, a potem ciągnął dalej:

— Dziki tłum podniósł słowa myślicielów i ukuł z nich ogniste pioruny, aby zniszczyły bogatą ziemię czeską. Nie tak marzyliśmy. Serca nasze pragnęły królestwa niebieskiego na ziemi, lecz tłum posiada więcej ramion od nas, a są, którzy mu pochlebiają. I to, co się miało stać błogosławieństwem dla narodu, jest dziś klątwą jego i hańbą; i to, co było jego nadzieją, będzie jego grobem.

Na górze, w komnacie narożnej odezwało się ciche westchnienie, z dołu bowiem szły te same złote słowa, które

powikłały niedawno myśli młodej dziewczyny. O, a z słów tych wyrodziło się tyle zbrodni...

— Przeto nie wiń mnie, — mówił głos dalej — bo kiedy przysięgałem na wierność kielichowi, były uczucia me święte. Wielu rycerzów zaciągnęło się z czystymi zamiarami pod sztandar Żyszki, a prawie wszyscy zginęli, szukając rozmyślnie śmierci. I moja godzina wybiła...

Strażnicy na murach wymienili w tej chwili hasła.

Głos ich przebudził Ludmiłę z zadumy, która uśpiła nienawiść córki Rozenbergów. Przechyliła się znów do ukrytego taboryty i wyrzekła:

— Wróć do swoich, panie z Janowa, bo nie godzi się, abym z tobą rozmawiała. Przecięte jest pasmo uczuć i myśli naszych, oddaliły się serca nasze. Uchódź! Straże są czujne, a gdy cię zoczą, zginiesz od strzały jak niemocna ptaszyna. Właśnie podnosi się księżyc nad zamkiem, promienie jego rozproszą cienie, w których się ukrywasz, iż widny będziesz.

Lecz głos z dołu odpowiedział:

— Czarne są skały, do których się przyczepiłem i czarna suknia moja. Ile gwiazd na niebie, ile ziarnek piasku na dnie potoku, tyle strzał pomykało nad głową moją. Nie dotknęła mnie żadna, nie obawiaj się o mnie. A teraz słuchaj, co ci powiem. Żyszka zaprzysiągł rodowi twemu straszną zemstę, a Żyszka nie cofa zamiarów swoich. Powiedz braciom swoim, że ciągnie dla nich pomoc rycerska z okolic Pragi, że, jeśli trzy dni wytrwają, zwycięztwo przy nich będzie. Przeto lepiej, aby jeszcze dzisiejszej nocy opuścili zamek i złączyli się z nadciągającemi posiłkami, bo sami nie odeprą dzikiej nienawiści Jana z Trocnowa. Taką radę daje braciom twoim Zygmunt z Janowa przez dawną dla nich przyjaźń i przez wstręt do rozbójników, którzy się mienią wyznawcami jedynie prawdziwej wiary. Zdradę, której się w tej chwili dopuszczam na kielichu taborytów, okupię jutro krwią swoją.

Na górze ukazała się biała ręka, podnosząca się jak do błogosławieństwa nad ukrytym taborytą, a cichy głos wyszeptał:

— Podziękowanie tobie, rycerzu, za przestrogę, lecz daremne były trudy twoje, bo bracia moi nie opuszczą zamku.

— Wiedziałem o tem naprzód, — odparł taboryta, — Rozenbergowie umieją tylko zginąć, albo zwyciężyć. Niech wam śmierć lekką będzie! Bywaj mi zdrowa...

Głos słabł, tonąc w przepaści. Rycerz spuszczał się ostrożnie po skałach, a z góry spadły za nim dwie łzy.

— Niech i tobie śmierć lekką będzie — płakała Ludmiła.

III.

Wysoko stało słońce na bezchmurnem niebie. W promieniach jego błyszczało kilkanaście tysięcy zbroi, bo wojsko husyckie czekało już w zwartych, milczących szeregach na rozkaz swego wodza.

Na wielkim karym rumaku jechał przed frontem mąż średniego wzrostu, szeroki w barkach, z czarną przyłbicą na głowie. Z pod gęstych brwi jego strzelał z jednego oka wzrok przenikliwy a tak groźny, że wojownicy drżeli pod jego dotknięciem. Drugie oko, zasłonione przepaską, nie służyło panu swemu.

To rycerz Jan z Trocnowa, z przydomkiem Żyszki, taborytów wódz a sędzia.

Nie przemówił do żołnierzy kwiecistem krasomóstwa słowem; spojrzał tylko na nich, a ponure oko jego zachęcało więcej, donośniej.

Wskazał ręką na zamek Rozenbergów. Tam powiewała na baszcie chorągiew dumnego rodu: Matka Boża z Dzieciątkiem, na białem tle.

Zrozumieli ten ruch Husyci. I uderzyli bronią o broń, tarczą o tarcz, iż rozbrzmiał dźwięk kruszcowy po całej dolinie; i zawołali tysiącem nienawiścią przepełnionych piersi: »śmierć papistom!«

Wysoki mąż, ubrany w czarną, długą suknią, wysunął się z przednich szeregów. Podniósł kielich w górę, a Żyszka zeskoczył z konia i padł na kolana.

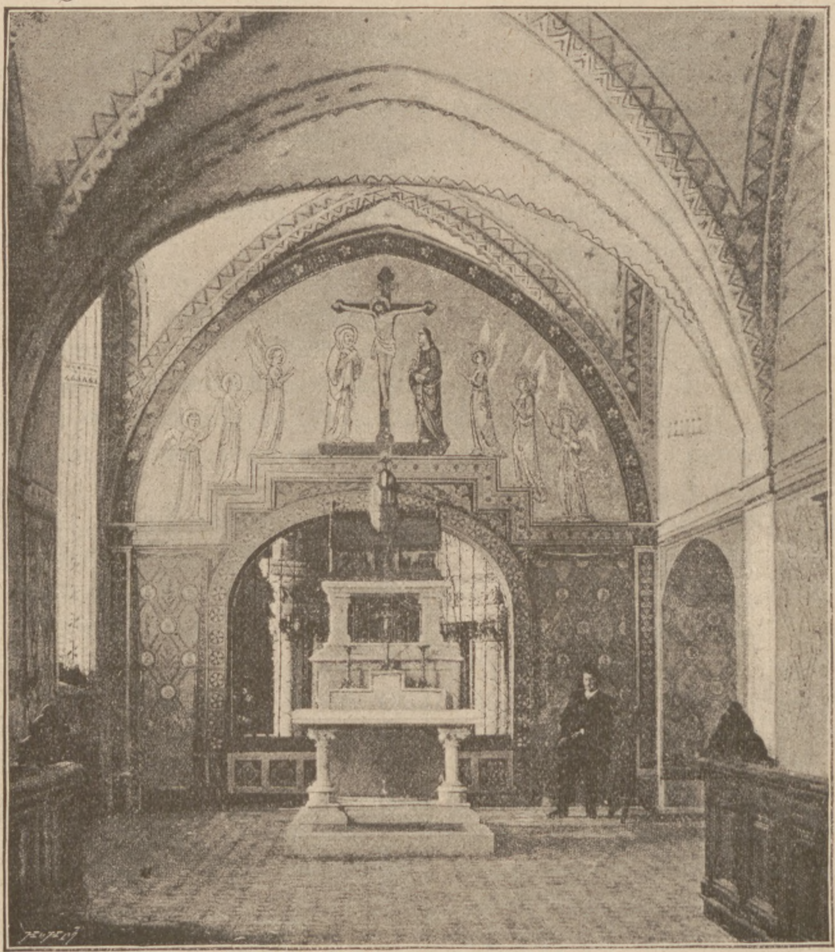
Cichym głosem wyszeptał pogromca papistów błagalną modlitwę. Gdy skończył, dosiadł znów konia, a kapelan podniósł kielich wysoko nad głową, aby wojsko ujrzało Boga, utajonego w chlebie i winie.

Ksiądz opuścił kielich — dobył miecza — wojownicy przykryli głowy przyłbicami.

Żyszka błysnął kolczystą maczugą, kreśląc nią nad wojskiem znak krzyża — »kielich i tabor« zawołał, — »kielich i tabor« powtórzyły tysiące mężów i poszli husyci jak straszny potok z łoskotem, krzykiem, szczękiem i klątwą przeciw górze austyjskiej.

Niczem dla wojowników żyszkowych spadzista skała. Pną się jak dzikie kozy po urwiskach, czepiają się złomów i krzewów, nie zważając na grad kamieni i strzał, sypiących się z góry na ich głowy. Trzaskają stalowe przyłbice, pękają naramienniki, kruszą się tarcze, jakby szklanne były. Zdaje się, że się całe skały walą na szeregi husyckie.

Dziesiątki stoczyły się już na dół z jękiem konających lub rannych, lecz nowi towarzysze zajmują miejsca ze-



Kaplica błog. Jolanty w kościele pofranciszkańskim w Gnieźnie.

pchniętych. Już dobiegli środka góry... Wtem spłynął na nich rzęsisty deszcz, a deszcz straszliwy, bo wrzącej smoły zabójcze strumienie. Zachwiały się szeregi odważnych... Tylko na chwilę, bo z dołu grzmi głos gniewnego wodza: »naprzód, Jana Husa mściciele!« Głośny ryk odpowiada: »Śmierć papistom! śmierć niewiernym!« I oślepieni, znieczuleni wściekłością odwagi rycerskiej, skaczą po trupach, naprzód, w górę pod mury zamkowe. Jeszcze chwilę, a zatknie rycerz z Janowa sztandar taborytów na wieży narożnej. On szedł przodem, on odsłonił twarz, odkrył ramiona i pierś. Lecz jego omijają pociski, skały i strugi smołowe...

A z po za wałów wychyla się drugi, twardszy mur. Pięćset piersi tam stoi, pięćset płaszczów świeci na srebrzystych zbrojach, pięćset długich mieczów błyska w powietrzu. A po każdem błyśnięciu rozlega się ostatni jęk i na dół stacza się ciężkie ciało taboryty. Prysła odwaga husycka o żywy mur, zbudowany z piersi Rozenbergów. Siedm razy ponawiał Żyszka szturm na zamek siedm razy cofnął się w dolinę.

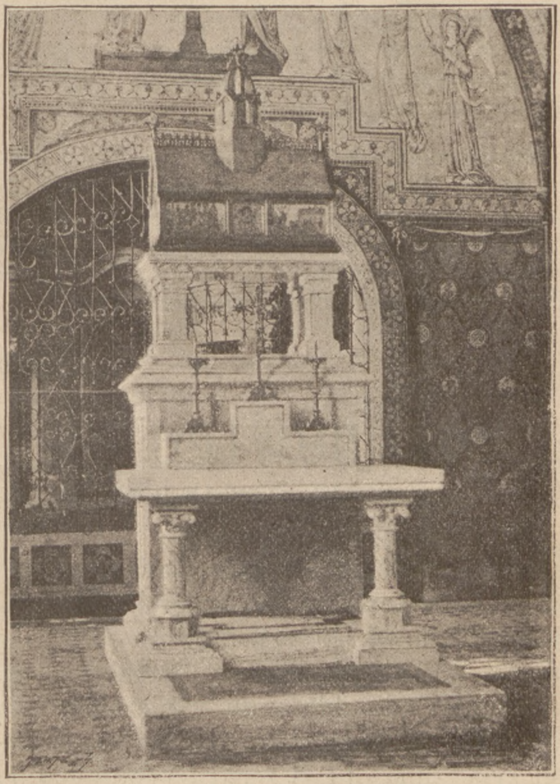
Zachodzące słońce oświecało hańbę taborytów.

W zamku austyjskim, w kaplicy, klęczy hrabia Ignacy przed ołtarzem, otoczony walecznymi swego rodu i dziękuje Panu bitew za krwawe zwycięztwo. »Te deum laudamus!« śpiewa kapelan, a giermkowie czuwający na murach, wtorują półgłosem: Ciebie Boże, chwalimy...

A w dolinie, w obozie taborytów, panuje taka cisza, jak gdyby dziewica zarazy dotknęło namiotów kończynami czarnych swych skrzydeł. Nie trzaskają ognie, nie dzwonią miecze, nie rozlegają się pieśni wesołe. Wojownicy siedzą obok swych wozów, pogrążeni w niemej rozpaczy, o pokarmie i napoju zapomniawszy, choć pracowali ciężko od świtu do zachodu słońca.

Gdy odwaga husytów prysła po raz siódmy o żywy mur Rozenbergów, wtedy zgrzytnął tylko Żyszka zębami, targnął wąs, zaklął coś, a mijając szeregi swego wojska, nie spojrzał na nikogo i ani jednego nie wymówił słowa.

Milcząc, udał się do swego namiotu. Tu usiadł na wielkim, ociosanym pniu i rozkazał słudze, aby zwołał naczelników na naradę.



Ołtarz błog. Jolanty w kościele pofranciszkańskim w Gnieźnie.

Stawili się! Piętnastu dowódzców otoczyło głównego rozkazodawcę, który wsparłszy głowę na prawej dłoni, a łokieć na kolanie, spozierał w ziemię przed siebie. Oblicze wodza oświecone płonącym w namiocie ogniem, drgało jak w kurczach.

Milczał Żyszka, a z dowódzców nie śmiał nikt przerwać ciszy niebacznem słowem. Po chwili warknął wódz, nie podnosząc głowy.

— Mściciele Husa, i pobici... Ha, ha, ha!

Przytłumiony to był śmiech, lecz tak ostry, że przenikał słuchających aż do szpiku.

Nastąpiło ponowne milczenie.

Po kilku minutach odezwał się Żyszka powtórnie.

— Mściciele Husa?! Podłe psy, nikczemni tchórze, niegodni imienia obrońców prawdziwej, świętej wiary Jana, który zgorzał w Konstancyi. (Dok. nastąpi).

OJCIEC PRZY CHRZCIE SYNA.

Oto ja, Panie, przynoszę na ręku
To dziecię moje, co jest pełne jęku
I jakiejś wielkiej, tajemniczej trwogi;
Syn to człowieczy — a pół-anioł boski
Zleciał na ziemię i jest pełen troski,
Bo nie zna miejsca, ni drogi.

Gdy ślubem ducha z Tobą się zaręczy,
Niech śmiało stąpa, przy wiary poręczy,
Drogą, co przepaść ma tylko lub ciernie;
O Panie! dziecię miej moje na pieczy,
Dozwól niech ono cierniem się kaleczy,
Lecz od przepaści chroń wiernie.

Strzeż go, by obcym nie kłaniał się bogom,
Niech Tobie służy, a nie Twoim wrogom,
Im niech nienawiść i zemstę przysięże;
Niech nie zna szczęścia, ni snu, ni pokoju,
Pokąd nie będzie zwycięzcą, lub w boju
Z męczeńską chwałą nie lęże.

Oto go Tobie składam na ofiarę
Za wolność mojej ojczyzny, za wiarę,
Chociaż Twych sądów nie mogę ja dociec;
Wysłuchaj Panie to moje wołanie,
Bo świętszych modłów już nie ma, o Panie,
Jak kiedy modli się ojciec!

Kornel Ujejski.

GROBOWIEC BŁOGOSŁ. JOLANTY

W KOŚCIELE POFRANCISZKAŃSKIM W GNIEŹNIE.

Rodzona siostra Bł. Kunegundy Jolanta, wstąpiwszy po śmierci męża swego Bolesława Pobożnego do PP. Klarysek w Starym Sączu, przeniosła się następnie do klasztoru Gnieznieńskiego i tamże świątobliwy swój żywot zakończyła dnia 11 Czerwca 1298 r.

Zaraz po śmierci cudami się wsławiła. Ówczesna ksieni tego klasztoru doznała pierwsza jej cudownej opieki, bo gdy śmiertelną złożona chorobą, pobożnem sercem prosiła Bł. Jolantę o przyczynę do Boga, ujrzała Błogosławioną w towarzystwie św. Stanisława Szczepanowskiego wielkim blaskiem jaśniejącą i wkrótce siły odzyskawszy, wstała z łóżka, by u grobu Jolanty za odzyskane zdrowie Bogu podziękować. Z licznych cudów, któremi Bóg chciał wsławić tę Błogosławioną godzi się wspomnieć, że r. 1613, gdy podczas pożaru Gniezna i ten klasztor stał się pastwą płomieni, pozostał tylko nietknięty refektarz, gdzie Błogosławiona za życia siostrom usługiwała, tudzież jej cela, kaplica zakonna i ta połowa kościoła, w której się jej grobowiec znajdował. Ogień nie dotknął się ani drewnianej kraty, ani wotów u grobu zawieszonych. Także jedna staruszka zakonnica, o której w powszechnym popłochu zapomniano, za wezwaniem przyczyny Bł. Jolanty, cudownie wyszła z płomieni.

Roku 1500 pewna obywatelka gnieznieńska, mając córkę od urodzenia niemą, polecała ją często Bł. Jolancie. Ta sama córka gdy razu jednego poszła się modlić do grobu Błogosławionej, tamże cudownie odzyskała mowę.

Dla licznych łask, jakich czciciele Bł. Jolanty u grobu jej doznawali, umieszczony był dawniej nad jej grobem następujący napis:

Tu leży perła droga z domu książęcego
Jolanta święta pani, z rodu cesarskiego,
Po śmierci męża swego zakon ten obrała,
W tym zakonie do śmierci w cnotach świętych trwała.

Po śmierci wsławił ją Bóg cudami wielkiemi;
Wiele może uprosić modlitwami swemi,
Umarli żywot, chorzy zdrowie odbierają,
W utrapieniach będący pociechy doznają.

Atoli mimo tylu wyraźnych cudów sprawa beatyfikacyi Jolanty bardzo powoli postępowała. W r. 1631 przybyła do Gniezna komisya duchowna z polecenia Arcybiskupa ks. Jana Wężyka. Odnaleziono wówczas grób Błogosławionej, relikwie obmyto i przeniesiono do innej skrzynki i opieczętowano je, a w r. 1697 włożono do cynowej trumienki. Później ks. Stanisław Szembek Prymas kr. P., który sam był bardzo nabożnym do Bł. Jolanty, postanowił starać się o jej uroczystą beatyfikacyę, ale śmiercią zaskoczony (r. 1721) postanowienia nie dokonał. Dopiero w roku 1776 na prośbę generała OO. Franciszkanów, wyznaczył ks. Arcybiskup Jan Podoski nową komisyę, która przez trzy lata pracowała nad wyświeceniem świątobliwego życia Błogosławionej i cudów za jej przyczyną doznanych. Proces jednak beatyfikacyi nie został zakończony z powodu nieszczęść i zamieszek w kraju, aż w r. 1827 na podstawie dokumentów przez tę komisyę sprawdzonych, orzekła św. Kongregacya w Rzymie, że prawdziwość czci Bł. Jolanty od niepamiętnych czasów udowodnioną jest należycie, a Papież Leon XII potwierdzając to orzeczenie, nadał odpust zupełny w dzień Bł. Jolanty dla wszystkich kościołów PP. Klarysek w Polsce, który to przywilej później na cały zakon OO. Franciszkanów rozszerzony został. Odtąd już cześć publiczna oddawana Bł. Jolancie powagą Kościoła potwierdzoną została. Dnia 13 Czerwca roku 1834 podniesione zostały relikwie Błogosławionej ku czci publicznej i umieszczone na ołtarzu św. Klary z polecenia ks. Arcybiskupa Marcina Dunina, bo aż do tego czasu osobnego ołtarza Błogosławiona nie miała.

Aby święte szczątki w odpowiedniejszy sposób umieścić, zawiązał się w Gnieźnie w r. 1880 komitet pod przewodnictwem ks. Biskupa Cybichowskiego, który zebrawszy na ten cel odpowiedni kapitał ze składek wiernych, zajął się odnowieniem dawnego chóru klasztornego i tamże postawił ołtarz dla Bł. Jolanty. Sprawiono także nowy sarkofag spiżowy, bogato ozdobiony obrazami emaliowanemi z życia Błogosławionej. Gdy wszystko wykończonem było, przybył do Gniezna w zeszłym roku Najprzew. ks. Arcybiskup Floryan Stablewski, dnia 4 Maja udał się w uroczystej procesyi do ołtarza, gdzie były złożone szczątki Bł. Jolanty i zdjąwszy dawne pieczęcie przeniósł je do nowej cynowej trumienki i opieczętował ją w obecności wyznaczonych świadków świeckich i duchownych. Poczem czterech kapłanów przeniosło św. szczątki w procesyi do nowej kaplicy i tamże włożono je do spiżowego sarkofagu. Ołtarz Bł. Jolanty wykonany z białego marmuru konsegrował tego samego dnia ks. Antoni Andrzejowicz Biskup-sufragan gnieźnieński.

Z Intencyi Mies.

RADA.

Po każdej klęsce i zawodzie
To mów narodzie:
»Grzmij losie! gradem i płomieniem
Niszcz moje plony;
Urągam ci spojrzeniem
Nieschylony.
Napróżno błyskawicą w koło mnie się wijesz,
Mnie nie zabijesz!
Tyś martwy — ja żywy,
Bom cierpliwy!

Idę moją drogą,
Orzę, sieję —
Nim źdźbło wytryśnie, już zbieram nadzieję.
Z wolą wrogą, z wolą srogą
Walczę chrobrze —
Przygniotła mnie?... i tak dobrze!
Cierpię, lecz się nie poddaję.
Mam ja siłę, co wzbogaca:
Praca ducha i rąk praca —
Jedna ginie, inna wstaje!«

Kornel Ujejski.

Z POBOJOWISK.

Na zdarzeniach XV wieku osnuł S. J.

Cienistą drogą jedzie konno pięciu zbrojnych mężów: trzech starszych przodem, dwóch młodszych w nie wielkiem za starszymi oddaleniu.

Znać, nie zwyczajni to podróżni, co widać po ich rycerskiej powierzchowności i po rumakach.

Kilkadziesiąt kroków za podróżnymi prowadzi pięciu pachołków tyleż jucznych koni.

Wszyscy: starsi męże, młodsi ich towarzysze i pachołkowie juczni stanowią jeden poczet podróżny.

Podczas gdy starsi jadą w milczeniu, z obliczem chmurnem, dwaj młodzi jeźdźcy taką wiodą rozmowę.

— Piotrze, czy to, co przed nami widać, już nareszcie zamek tarnowski? — pyta z nich jeden, wskazując na znaczące się wyraźnie w oddali obszerne mury.

— Tak jest, — odrzekł zagadnięty.

— A owe wieże wśród drzew, to Tarnów?

— Tarnów.

— Chwała Bogu! — zawołał pierwszy. — Tu człek odpocznie, pokrzepi się nie tylko wczasem, ale i pogawędką o weselszych dziejach, a tego nam bardzo potrzeba.

— Mój Michale, prawdą a Bogiem, to nam potrzeba własnego domu, — odpowie pan Piotr. Mnie i zamek tarnowski nie dogodzi. Znowu kilka dni zmarnujemy i nasłuchamy się skarg i biadań, nauk i przygan. Oby się jeno jak najprędzej dowlec do domu.

— Tobie, Piotrze, dobrze do domu się wyrywać, bo masz takich, którzy za tobą potęsknią, zapłaczą i pomodlą się; ale dla mnie nic tego. Ojca zaledwie sobie przypominam. Dał życie w grunwaldskiej potrzebie; matka zaś w kilkanaście lat po nim umarła, a teraz pod nieszczęsną Warną, jednego zostawiłem brata i dziś sam jestem; sam jako kołek, o żadnych nie wiem krewnych; bo mój ojciec z litewskiej ziemi przybył do Polski.

I zamilkł towarzysz Piotra i raz po raz głęboko sobie westchnął.

— Bodajś, miły Michale z twojem biadaniem — przerwał krótką zadumę Piotr. — Ja sądzę, że ludziom naszego rzemiosła to jeno wtenczas dobrze z domem, żoną, dziećmi i rodzicami, jeżeli Bóg da pokój, jeżeli pawęza*) z plechem**) na ścianie wiszą, a kurzem dobrze zaszły; ale jeżeli przyjdzie mierzyć się z jakim Turczynem, lub Krzyżakiem, jeżeli zagrzmią obuchy; zaświszczą proporce, zahuczą rusznice, to ci wszyscy sercu twemu mili i drodzy staną przed oczyma.... Boże, zmiłuj się, okropna chwila! A zalezie ci jaki grot, lub turecka strzała za skórę, a śmierć zajrzy w oczy, wtedy ci dom z wszystkiem, co ma, młyńskim kamieniem zacięży w ostatniej godzinie. Słyszałeś Michale?

Znowu zamilkli. Tymczasem posępne mury tarnowskiego zamku coraz wyraźniej występowały z zieleni.

— Jedziemy, jak na pogrzeb jaki, — zauważył pan Michał. Tamci przed nami już dobrze od godziny pozwieszali głowy i dumają jak mnichy w kapturach.

— Mają nad czem dumać — odpowiedział Piotr. — Wyjeżdżało ich tu ztąd na wojnę za królem Władysławem***) nie mało w poczcie okazałym; serca ich biły nadzieją nie lada, dłonie się rwały do miecza, myśl wylatywała het daleko naprzód i roiła Bóg wie co, a wszystko dobre, wszystko jak najlepsze; — a dziś? — trzech z nich tylko powraca, a tu pani wojewodzina o synów****) swoich będzie się dopominała... Oj, będzie to płaczu nie mało!

---

*) Tarcz.

**) Napierśnik blaszany.

***) Synem Jagiełły.

****) Dwóch braci Tarnowskich z Tarnowa: Jan Major i Jan Gratus poszli z królem Władysławem przeciw Amuratowi 1444 r.

— Tyś, Piotrze, istny puszczyk. Zbaniałeś w tej marudnej drodze; już nie ten, co dawniej człek z ciebie, a okopy jakie przestronne; a jak fosy zobaczysz, to się to dopiero dziwić będziesz.



Bitwa pod Samosierrą. (Obacz objaśnienia rycin na str. 304.)

— Nie z mojej to winy, mój Michale; to mi też krzyw nie bądź; lepiej się przypatrz dobrze pięknemu zamkowi. Widzisz, jakie to obszerne mury,

— A i kościół, tamten w dali, gmach okazały — przerwał już udobruchany Litwin.

— Tarnowskich ród — chwalił Piotr

dalej — dzielny i zamożny; wszystko, co oni budują, to wspaniałe.

— A jakie to spore miasto ten Tarnów; już je teraz dobrze widać.

— Spore i bogate, ale też dobrze o niem radził niebożczyk król Jagiełło, bo kupczących mieszczan tutejszych, do Wrocławia z towarami, na Opatowiec, Działoszyń, Lelów i Krzepice jeżdżących, lub ztamtąd wracających uwolnił od wszelkich ceł i myt.

Wtem głos rogu rozległ się w powietrzu. To nasi podróżni o gościnę proszą. Już dojeżdżają do mostu zwodzonego.

Nim zagoszczą u pani wojewodziny Tarnowskiej, wdowy po wojewodzie krakowskim, Janie Tarnowskim, niechaj kilku słowami objaśnimy rzecz, o której poniżej będzie mowa.

Po śmierci Władysława Jagiełły, syn jego Władysław, nazwany po zgonie Warneńczykiem, wstąpił na tron polski za sprawą tego samego Zbigniewa Oleśnickiego, który to pod Grunwaldem piersią swoją zasłonił Jagiełłę, za co licznych łask monarszych doznawszy, został biskupem krakowskim, następnie kardynałem i pierwszym doradzcą i wielką podporą polskiego tronu. Ale też naonczas było potrzeba dzielnej głowy koronie i krajowi ku radzie i pomocy, bo król nowoobrany był dzieckiem, ledwie lat dziesięć liczącem.

Skoro młody król podrosł, umarł monarcha węgierski. Węgrzy w wielkim byli kłopocie, gdyż właśnie gotowali się na Turka, srogiego wtenczas krain wschodnio-europejskich najezdnika, który z Azyi idąc, radby był całą zalał Europę, krzyże z świątyń Pańskich postrącał, a półksiężyc — godło wiary mahometańskiej — na miejscu świętego naszego znaku osadził.

Było to wtedy obawy pomiędzy władzcami chrześciańskimi nie mało, a tu Węgrzy bez króla, a Węgrzy wraz z Polakami pierwsze zapędy pohańców odpierać musieli! Dla tego udali się panowie węgierscy w utrapieniu tem do Polski i ofiarowali koronę węgierską młodemu Władysławowi, bacząc przytem na dwie rzeczy: najprzód na to, że Władysław z dzielnego szedł rodu, że śmiało będzie stawiał przeciwnościom czoło, a nadto że przez wybór ten złączą ściślej Polskę z ojczyną swoją przymierzem twałem, czemże pozyskają Węgry pomoc wypróbowanego i z wojennej sławy głośnego rycerstwa polskiego, o którem dobrze wiedzieli, że nie będzie ono chciało nigdy i nigdzie puścić króla swojego bez polskiej osłony i pomocy. Biskup Oleśnicki nie sprzeciwiał się prośbom panów węgierskich, owszem dla tego, że ztąd iść miała korzyść i dla wiary chrześciańskiej, popierał posłów. I inni panowie polscy też przystali chętnie na przedstawienie sąsiednich wysłanników i zebrali się licznie a okazale, by królowi swemu na koronacyą towarzyszyć.

Ukoronowano niebawem króla Władysława z wielkim przepychem koroną, zdjętą — według zwyczaju węgierskiego — z głowy św. Stefana. Krótkie, bo pięcioletnie tylko panowanie Władysława w Węgrzech zakończyło się straszną klęską pod Warną 1444 r. i śmiercią młodego króla.

Rzecz niniejszem opowiadana dzieje się w rok po smutnem zdarzeniu pod Warną, a więc 1445 r.

Podróżni nasi to Jan Rzeszowski, Paweł Grabowski, towarzysze broni 2 braci Janów Tarnowskich z Tarnowa. Trzeci to Grzegórz z Sanoka, były kapelan i poufny doradzca Warneńczyka.*) Młodzi zaś dwaj rycerze, Piotr i Litwin Michał, to giermkowie: pierwszy służy Rzeszowskiemu, drugi panu Pawłowi. Starsi rycerze i Wielebny Grzegorz z Sanoka, to dawni znajomi pani wojewodziny Tarnowskiej.

*) W kronice Mor. Bielskiego, tom I. str. 690 stoi: »z Polaków tylko dwaj uciekli (z pod Warny): Jan Rzeszowski a Grzegorz z Sanoka. Szujski zaś wspomina, że i Grabowski uszedł.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Promienie słoneczne i praca, której dokonywają.

Któż nie lubi słonecznych promieni, komu nie sprawia przyjemności, gdy je widzi igrające na ścianie, błyszczące jak dyamenty na powierzchni fal morskich, lub różnokolorowem światłem igrające w wodotrysku? Czyż promień słońca nie jest nam tak drogim, że go używamy na określenie tego, co się nam w codziennem życiu miłem i wesołem zdaje? Gdy chcemy opisać istotę użyteczną, przyjemną, wesołą i przez wszystkich kochaną, mówimy o niej: to prawdziwy promyk słońca.

A jednak najmędrsi z nas, jak mało wiedzą o charakterze i dziełach tego jasnego posłańca, który jak strzała przelatuje przestworza!

Czy się wam kiedy zdarzało zbudzić bardzo rano, gdy było ciemno, jak w jaskini, tak że niepodobnaby nawet dojrzeć własnej ręki, — i leżąc w łóżku cichutko czekać, a potem zwolna dostrzegać, jak stopniowo coraz jaśniej robiło się w oknie? Jeśliście kiedy podobną robili próbę, musicie sobie przypominać, że naprzód niewyraźnie zarysowywał się przed wami kształt sprzętów; potem już mogliście dostrzedz różnicę pomiędzy białą serwetką, pokrywającą stolik, a ciemną szafą obok stojącą; dalej zaczęliście rozróżniać szczegóły coraz wyraźniej; zamek u szafy, wzory na obiciu i rozmaite kolory sprzętów, znajdujących się w pokoju, okazywały się coraz wybitniej, aż w końcu wszystko widzieliście dokładnie przy świetle dziennem.

Jak się to stało? dla czego tak powoli, nie odrazu zarysowywały się przed wami wszystkie przedmioty? Mówimy, że to słońce wschodzi, wiemy jednak doskonale, że nie słońce się porusza, lecz ziemia nasza obraca się zwolna, i tym punkcikiem na którym mieszkamy zwraca się w taki sposób do słońca, że jesteśmy naprzeciw niego, a promienie tej olbrzymiej kuli ognistej dosięgnąć nas mogą.

Weźcie mały globus i naklejcie czarny plasterek na to miejsce, gdzie leży nasze miasto, wtedy zapalcie lampę i wyobraźcie sobie, że ono jest słońcem; obracajcie globus powoli w taki sposób, aby miejsce zakryte plasterkiem było po tej stronie, gdzie światło lampy nie dosięga; wtedy zobaczycie, że blask zrazu oświetla jedną tylko cząstkę plasterka, potem środek, a w końcu dopiero pada na całą część zasłoniętą. Toż samo stało się z tą cząstką świata, na której mieszkamy, gdyście leżeli w łóżku i przyglądali się, jak na nią padały promienie słoneczne. O nich to właśnie mamy dziś pomówić: czem są i co czynią dla nas. Naprzód dowiedzieć się trzeba nieco o samem słońcu, ponieważ z niego spływają promienie.

Jeśliby słońce, zamiast kulą płomienistą, było ciemną masą, nie mielibyśmy żadnego z tych jasnych posłańców, i nawet zwróceni doń naprost dzień w dzień, zostawalibyśmy pogrążeni w wieczną, zimną noc. Przypominacie sobie, iż gorąco rozprasza drobne cząsteczki wody, które się unoszą w górze, a potem, w postaci deszczu padają na ziemię; skoro pora jest chłodna, spada śnieg i wszystka woda w lód się zamienia. Lecz jeśliby słońce zawsze ciemnem było, wyobraźcie sobie tylko, jaki straszny chłód powstaćby musiał, nieporównanie byłoby zimniej, niż w najsurowszy dzień zimowy, ponieważ w najchłodniejszą noc zawsze jakaś odrobina ciepła wydobywa się z ziemi, która je pochłonęła z promieni słonecznych, spadających na nią we dnie. Lecz jeśliby do nas nigdy nie dochodziło ciepło, woda nie mogłaby się wznosić w górę, deszcz nie padałby nigdy, rzeki nie płynęły, a zatem nie mogłyby rosnąć żadne rośliny, ani żyć zwierzęta.

Wszystka woda zamieniłaby się w śnieg i lód, a ziemia stałaby się wielką zamrożoną kulą, na której nie byłoby żadnej żyjącej istoty.

Ztąd widzicie, jak nas to żywo obchodzić powinno, czem jest słońce i w jaki sposób przesyła nam swoje promienie.

Jak wam się też zdaje, jaka może być odległość pomiędzy niem i ziemią? W piękny dzień letni, gdy je wyraźnie widzieć możemy, zdaje się tak blisko, że pomyśleć prawie możemy, iż wsiadłszy do balonu, dosięglibyśmy do niego bez trudności; a jednak, wiemy napewno, że więcej, niż dwadzieścia milionów mil oddziela słońce od ziemi.

Te liczby są tak niezmierne, że je sobie przedstawić trudno. Wystawcie sobie tylko, że jedziecie koleją najszybszyın pociągiem, robiąc na godzinę 60 mil angielskich i nie zatrzymując się nigdzie. Przy takiej jeździe, jeślibyście chcieli dostać się do słońca, musielibyście podróżować 171 lat! Pojmujecie, co to za olbrzymi przeciąg czasu! A wiecie jaka jest wielkość słońca? Anaksagoras, mędrzec grecki, wyśmianym został przez swych współtowarzyszów za to, że się odezwał, iż słońce jest takiej wielkości jak półwysep Peloponeski, tak wielki jak jedna nasza prowincya. Jakżeby się zdumieli owi Grecy, jeśliby wiedzieć mogli, że słońce większem jest nie tylko od całej Grecyi, lecz więcej niż milion razy przewyższa objętnością naszą ziemię całą.

Nasza ziemia już bardzo jest obszerną, tak iż cały nasz kraj ojczysty wygląda na niej jak punkcik niewielki, a chcąc kulę ziemską objechać pośpiesznym pociągiem, użyćby na to potrzeba około miesiąca czasu. A jednak cała ta ziemia niczem jest, w porównaniu ze słońcem, ponieważ ziemia ma dokoła 5400 mil, a słońce więcej niż 578,100.

Wyobraźcie sobie na chwilę, że przekrajaliśmy tak ziemię i słońce na dwie połówki, jak krajecie jabłko; a wtedy, jeślibyście płaską częścią połówki ziemi poukładali na połowie słońca, potrzebowalibyście wziąć 106 takich połówek ziemi, by je w jeden rząd położyć przez środek słonecznej połowy.

Jednym z najlepszych sposobów dla zrozumienia dokładnego wielkości słońca, jest następujący: Przypuśćmy, że kula słoneczna jest próżną, jak piłka napełniona powietrzem, i zobaczmy, ilebyśmy też ziemskich kulek zmieścić w niej mogli? Nie uwierzylibyście pewnie, że we wnętrzu słońca zmieściłoby się milion trzysta trzydzieści jeden tysięcy kul wielkości naszej całej ziemi. Pomyślcie sobie, żeby potężny olbrzym mógł chodzić w przestrzeni i zbierać światy, wszystkie tak wielkie, jak nasz i naprzód złożyłby ich dziesięć tylko razem, coby to był za ogrom! Potem potrzebowałby sto takich gromad jedna na drugą złożyć, dopiero wtedy miał by ich tysiąc; a takich tysiąców potrzebowałby znowu tysiąc na utworzenie jednego miliona, i skoroby je wszystkie wsypał do wnętrza pustego słońca, napełniłby dopiero trzy czwarte części, a jedna ćwierć jeszczeby pustą została!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

HASŁA.

Idą dalej głodne lata —
Więc dowody złóżmy męstwa,
Choć bez szczęścia i zwycięstwa,
Choć przewleka się zapłata.
Słychać głosy po mogiłach:
»Co nam chwałą, dziś wam skazą:
»Nie war niech wam chodzi w żyłach,
»Lecz żelazo!«

Lepsza dbałość, niż zuchwałość —
Przysparzajmy sił w ukryciu,
Te trzy hasła miejmy w życiu:
Pracę, jedność i wytrwałość!
Słychać głosy po mogiłach:
»Co nam chwałą, dziś wam skazą:
»Nie war niech wam chodzi w żyłach,
»Lecz żelazo!«

Kornel Ujejski.



PIJCIE DZIADUNIU. (Obacz objaśnienia rycin na str. 304.)

Historya sztuki pisania.

(Ciąg dalszy.)

Za czasów Konfucyusza, około roku 500 przed Chrystusem, spotykamy lżejszy i piękniejszy rodzaj znaków, któremi pisano na trzcinie i liściach palmowych przy pomocy rylca.

W pierwszym wieku ery naszej powstało lekkie pismo zwane thsao, zawierające wielkie mnóstwo dowolnie wybranych skróceń i dla tego bardzo trudne do czytania. Napisy na wachlarzach, zasłonach, materyach i t. d. wykonane są w ten sposób.

Kiedy wprowadzone zostały papier i pędzel, powstało piękne pismo, kiasingszou, które i po dziś dzień jest w wielkiem używaniu.

Materyał piśmienny Chińczyków stanowi papier, pędzel i tusz. W dawnych czasach używano tablic bambusowych pociągniętych werniksem oraz ostrego rylca, ale również rytowano litery na płytach metalicznych. W drugim wieku po Chrystusie zaczęto nakładać farby na płótno i jedwab za pomocą pałeczki, której koniec zmiękczony był wilgocią i uderzaniem. Po wynalezieniu papieru t. j. w 100 lat później, miejsce pałeczki drewnianej zastąpił pędzel, wyrabiany z bardzo delikatnych włosów króliczych. Tusz bywa najrozmaitszych gatunków: najlepszy był ten, którego połysk zbliżał się do lakieru. Trze go się na czystym marmurze usuwając za każdym razem to, co pozostało z dnia poprzedniego. Pendzel trzyma się pionowo i pisze w pionowych wierszach od ręki lewej ku prawej.

Z wielkiem poszanowaniem, jakie ma dla nauki i jej reprezentantów, jest również lud chiński i dla zapisanego albo zadrukowanego papieru, gdyż litery, to »oczy mędrca, to ślady jakie pozostawili po sobie uczeni« i przysłowie grozi ślepotą w życiu przyszłem tym, którzy na ziemi nie szanują pisma. Istnieją nawet towarzystwa, wysyłające członków swoich na prowincyą do zbierania po drogach zapisanego papieru, który następnie bywa palony w oddzielnych, umyślnie na ten cel przeznaczonych piecach a otrzymany popiół, wśród uroczystych procesyj wyrzucany do rzeki.

Jakkolwiek różny jest sposób wymowy w licznych prowincyach rozległego państwa chińskiego, postanowienie cesarskie jest wszędzie rozumiane dla tego, że litery nigdy nie zmieniają swego znaczenia. Dziwnie to może się wyda, kiedy powiemy, że każdy europejczyk, przy wytrwałości ze swej strony, może nabyć dokładnej znajomości pisma chińskiego, może nawet czytać każdą chińską książkę, nie rozumiejąc ani słowa po chińsku jedynie przez to, iż zachowa w pamięci tysiące znaków na oddzielne pojęcia. Japończycy, których język jest zupełnie odrębny od chińskiego, mogą czytać chińskie książki dla tego, że pierwotnie wzięli swoje pismo od swoich sąsiadów.

Hieroglify. Żaden rodzaj pisma nie ma dla człowieka takiego zajęcia, jak hieroglify Egipskie. Nil, piramidy, mumie, hieroglify — oto wyobrażenia, jakie w nas budzi nazwa »Egipt«. Ale kiedy każda nieomal książka z obrazkami zdumionemu oku dziecka pokazuje formę piramidy, a każdy zbiór starożytności, mający pretensyą do doskonałości, posiada prawdziwe albo tylko naśladowane mumie, hieroglify nawet najwykształceńszemu człowiekowi znane są nieraz zaledwie z nazwiska.

W Sierpniu 1799 roku artylerzysta francuzki Bouchard, prowadzący roboty fortyfikacyjne w twierdzy Rozetta, przy ujściach Nilu, znalazł płytę bazaltową, na której był napis w trzech różnych rodzajach znaków. Znajdujące się na niej hieroglify przedstawione były za pomocą demotycznych czyli pospolitych liter krajowych, oraz w języku greckim. Z tego ostatniego dowiedziano się, że kamień ten zawierał edykt króla Ptolemeusza Epifanesa. Z odkryciem tego kamienia, który dziś stanowi jedną z

głównych ozdób Muzeum Brytańskiego, rozpoczęły się nadzwyczajne usiłowania, jakich nie szczędzili uczeni europejscy w celu odcyfrowania hieroglifów.

Hieroglify, podobnie jak wszelkie pismo, wzięły początek z pisma obrazowego. Egipcyanie, podobnie jak Meksykanie i Chińczycy, pierwotnie przedstawiali w nieobrobionej grubej formie zmysłowe przedmioty, których chcieli dać wyobrażenie. Słońce i księżyc, zwierzęta i rośliny dawały się łatwo przedstawiać przy pomocy prostych rysunków. Czworokąt z otworem w środku dolnego boku (podstawy) wyobrażał dom mieszkalny; czworokąt ze znakiem Boga, świątynię, obraz człowieka z podniesionemi ramionami znaczył »cieszyć się« albo »przestraszać się«, słowem, Egipcyanin pomagał sobie tak samo, jak Meksykanin i Chińczyk. Prowincye i kraje przedstawiane były przez właściwe im płody naturalne; Egipt górny przez kwiat lotosu, Egipt dolny przez krzew papirusowy. Moglibyśmy przytoczyć wielką liczbę takich, jak je nazywa Bunsen, wizerunków rzeczy, gdyż w piśmie hieroglificznem przechowało się ich jeszcze 400 do 500; powstrzymujemy się jednak dla tego, że takowe tworzą nie główną część składową, nie to co jest charakterystycznego w staroegipskim systemie piśmiennym, ale tylko początek jego rozwoju.

Pismo dźwiękowe. Pierwotne pismo obrazowe przekształciło się właśnie w Egipcie w pismo dźwiękowe, t. j. wyrażano już za pomocą znaków nie przedmioty, ale wyrazy, dźwięki. Najlepiej to objaśnić na przykładzie. Obraz oka nie oznaczał z początku nic więcej jak przedmiot ten, — oko samo. Ale w języku starokoptyjskim — był to język Egipcyan — wyraz »iri« znaczy nietylko oko, ale także, »czynić, robić«. Dla tego używano również tego obrazu do oznaczenia ostatniego pojęcia; dla wyrażenia jednak czynności dodawano dowcipnie do tego hieroglifu parę idących naprzód nóg. Znaki takie, zwane przez Bunsena znakami określającemi, używają się bardzo często. Linia dodana do obrazu gatunku wskazuje, że wyraz jest rzeczownikiem męzkiem; dwie ręce rozłożone przeczą następującemu zdaniu. Można sobie zrobić jasne pojęcie o tem piśmie dźwiękowem, rozbierając rebus. I tu oznacza się przez obraz przedmiotu nie tyle wyraz, ile raczej dźwięki, tworzące ten wyraz. Znaczenie wyrazu jest po większej części rzeczą obojętną.

Hieroglify, których znaczenie fonetyczne (dźwiękowe) rozpoczęło się od tego, że ten sam obraz mógł przedstawiać dwa równobrzmiące wyrazy różnego znaczenia, rozwinęły się naturalnie w pismo zgłoskowe. Pojedyńcze sylaby brano na całość i oznaczano je obrazem odpowiedniego jednozgłoskowego wyrazu. Był to już nadzwyczajny postęp, gdyż tym sposobem, przez rozkład wyrazu na jego organiczne części składowe i oznaczenie jego dźwiękowych elementów, torowano drogę do pisma zgłoskowego.

Pismo zgłoskowe i alfabet (abecadło). W historyi nie napotykamy wyraźnego wymienienia nazwiska męża, który pierwszy wymyślił dla każdego dźwięku odpowiedni znak czyli głoskę; nie znajdujemy nawet wzmianki o narodzie, do którego należał. To jednak zdaje się być pewnem, że to był mąż szczepu semityckiego, prawdopodobnie Fenicyanin albo Izraelita. W szkołach uczono nas wprawdzie, że wynalazek szkła i liter należy się Fenicyanom, ale sami Fenicyanie nie przypisują sobie prawa do tego ostatniego wynalazku. Według ich podań, Egipcyanin T h o t przyniósł im system piśmienny; źródła zaś babilońskie mówią, że bóstwo Oannes, przybyłe z za morza, nauczyło lud abecadła. Ztąd możnaby się domyśleć, że pismo egipskie było przeniesione do Azyi, ale temu sprzeciwia się zupełny brak podobieństwa w obu pismach i ścisłe pokrewieństwo hieroglifów z językiem egipskim. Najprawdopodobniejsze zdaje się być zdanie tych, którzy utrzymują, że za czasów Mojżeszowych, kiedy Izraelici byli w tak rozlicznych stosunkach z Egipcyanami, rozszerzyła się pomiędzy

niemi znajomość pisma egipskiego, co mogło dać niektórym bystrzejszym umysłom podniętę do wymyślenia alfabetu, zastosowanego do języka hebrajskiego. Można się domyśleć, że sam Mojżesz był pierwszy, który zakon i przykazania wyrył na kamiennych tablicach tem pismem. Przyjąwszy ten domysł za prawdę, łatwo jest objaśnić rozpowszechnienie się nowego alfabetu po innych narodach semityckich.

Początek każdego pisma zgłoskowego datuje od chwili, kiedy wyrazy rozkładają się na pojedyńcze dźwięki, a te znowu oznaczają się za pomocą hieroglifów, których znaczenie zaczyna się tą samą głoską. Ponieważ noga w starokoptyckiem zowie się pat, to obraz nogi stał się znakiem na głoskę p.

Jeżeli znaczenie nie wymaga tego koniecznie, samogłoski nie piszą się, i pozostawia się do woli czytelnika wstawianie odpowiednich samogłosek pomiędzy spółgłoski. Jasną jest rzeczą, że przez to natrafia się na nadzwyczajne trudności w czytaniu hieroglifów. Kiedy dawniejszy Egipcyanin chciał napisać wyraz krokodyl po koptyjsku, malował kwadrat = s i dwa rygle = k. Dwa te obrazy dawały wyraz suki; u i i nie były oznaczone. Ale nie było to wszystko jedno, jakie obrazy należało wybierać do oznaczenia spółgłosek. Zwyczaj wyrobił pewną pisownię i dla niektórych wyrazów można było używać tylko ściśle oznaczonych znaków. Połączenie set (wąż) i kot (kosz z uszami) nie dawało nigdy wyrazu suki, chociaż takowe zaczynały się od liter s i k.

Abecadło Egipskie. Takim sposobem powstał najstarszy alfabet na świecie, który według poszukiwań Henryka Brugsch obejmował 25 głosek. Było prawidłem, że wszystkie imiona własne pisały się za pomocą znaków alfabetycznych, przyczem jednak opuszczano często krótkie samogłoski, w skutek czego pisano Kloptr zamiast Kleopatra, Brnk zamiast Berenike i t. d. Ponieważ jednak w rozmaitych wyrazach te same spółgłoski mogą się znajdować w tym samym porządku, więc przy nazwach gwiazd dołączano obraz gwiazdy, przy nazwach roślin obraz rośliny, dla lepszego zrozumienia się.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Samosierra. Na drodze z Arandy do Madrytu w Hiszpanii leżą wąwozy, czyli przejścia w górach, zwane Samosierra. W r. 1808, gdy Napoleon I walczył z Hiszpanami, wojsko hiszpańskie i mieszkańcy gór, usadowili się w tych wąwozach i bronili przejścia wojskom Napoleońskim. Napoleon posyłał najdzielniejsze swoje oddziały, aby wypędziły Hiszpanów i utorowały drogę wojsku, lecz napróżno, albowiem nie można było przemódz Hiszpanów. Wtedy Napoleon, nie wiedząc sobie rady, zawołał dowódzcę oddziału Polaków, którzy w wojsku francuskiem służyli i wydał rozkaz, aby zdobyli wąwozy. Polski oddział pod dowództwem Leona Hipolita Kozietulskiego rzucił się ku wąwozom i po zaciętej walce zdobył wąwozy, wypędził Hiszpanów a Francuzom utorował drogę do stolicy kraju. Bitwa pod Samosierrą jest jedną z najchlubniejszych dla oręża polskiego. Dzisiejszy obrazek przedstawia nam ów odważny atak lekkiej jazdy polskiej na wąwozy. Napoleon chodził po zdobyciu między rannymi a chwalił i przypinał własnoręcznie ordery polskim oficerom i żołnierzom.

Pijcie dziaduniu! »Miłuj bliźniego, jak siebie samego.« To przykazanie trzeba dziś bardzo często przypominać, bo niestety wielu ludzi, chrześcian z nazwiska, o niem zapomniało. Gdyby wszyscy ludzie o tem przykazaniu pamiętali, byłoby wszystkim we wszystkiem lepiej. »Pragnących napoić,« — oto uczynek miłosierny co do ciała. Dziewczyna na obrazku w dzisiejszym numerze spełnia go, gdy mówi do dziadusia: Pijcie, boście spragnieni! Starajmy się mieć w sercu zawsze miłość bliźniego i pełnić miłosierne uczynki, bo każdy z nich zostanie zapisany u Boga, w księdze naszych zasług. Zachęcajmy innych własnym przykładem do dobrych uczynków, do miłości bliźniego.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

wpływ wywiera go-
-ie potraw i ich przy-
-wa na trawienie.

nadania pokarmom przy-
-ego smaku i większej stra-
-otujemy je i przyprawia-
towanie miękczy pokarmy,
im pewne pierwiastki
lub nieprzyjemne i ułat-
trawienie. Czerwone
-wiej się trawi, gdy jest
pieczone lub wygoto-
swym soku, niż gdy jest
-rzegotowane; przeciwnie
-ię ma z mięsem białem.
i sposób gotowania wy-
wielki wpływ na stopień
-ci pokarmów. Mięso go-
-tem łatwiej się trawi,
-wanie było powolniejsze

-prawy zależne są od kli-
-ju i przyzwyczajenia. Są
nie potrzebujące żadnej
-y, zawierają bowiem w
-ość pierwiastków podbu-
-h ich strawność: do tych
-ięso czerwone a zwłaszcza
lub pieczone. Niema
-ziej niezdrowego jak owe
-tórych zanurzamy pewne
Przyprawy najprostsze
-wsze, a z pokarmów te
-wiej trawią, które dają
-bez żadnych przypraw,
najbardziej zbliżonej
-alnej. Mięso smażone
nie przyprawione trawi
-atwiej.
-szkańcy krajów gorących
-ają, za pomocą przypraw
i gryzących, powolność
-ia trawienia. Przyroda
-m pieprz, pimenty, cyna-
-uszkat, goździk i t. p.,
-daje się ich zachęcać do
-ztucznego podbudzania sła-
-wotności żołądka. Miesz-
-ajów umiarkowanych nie
-e uciekać się do tak
-rodków podbudzających
-tać winien na przypra-
-chnących jak czosnek,
, trybula, cyweta i t. p.,
jakich mu dostarczają
-krzyżowe: jak chrzan,
i t. p.
-at zimny uspokaja do
-ia w pokarmach znacznej ilości pierwiastków węglowych i tłuszczowych. Substancye te trudne są do strawienia; dlatego to mieszkaniec krajów zimnych używa przypraw podbudzających i potraw korzennych. Czosnek, pieprz, pimenty wszelkiego rodzaju, peklowiny, kawior, ryby morskie, sardele, śledzie, ostrygi itp. pobudzają w wysokim stopniu apetyt. Dzięki tym środkom podbudzającym szwedzi, anglicy i amerykanie spożywają pokarmy w ilościach wprawiających w podziw mieszkańca innego klimatu.

Przyprawy wreszcie kwaśne jak octy, kwasy roślinne i mineralne, cytryny, szczaw, sok z niedojrzałych winogron, jeżeli będą należycie rozcieńczone i użyte umiarkowanie, pobudzają gruczoły ślinowe, uśmierzają pragnienie, budzą apetyt i ułatwiają strawność pokarmów zwłaszcza klejowatych. Zbyt częste powtarzanie ich osłabia organa trawiące i paraliżuje ich czułość. Tem się tłumaczy skuteczne działanie ich przy leczeniu otyłości, objawiającej się w zbyt młodym wieku. Pamiętać należy, że skutek ten okupuje się kosztem zdrowia. Nadewszystko wystrzegać się należy nadużycia octu, który po większej części bywa fałszowanym. Ocet uchodzący za winny, robi się zwykle z kwasu octowego mineralnego, a niektórzy fabrykanci są tak niesumienni, iż wyrabiają go z kwasu siarczanego.

Praktyczne rady.

— **Lekarstwo na oparzeliznę.** Podajemy sposób przyrządzenia wody, która jest nader skuteczną na wszelkie poparzenie tak w skutek ognia, jak w skutek gryzących kwasów. Bierze się 5 części gaszonego wapna i rozciera go się z 10 częściami cukru; wszystko mięsza się z 100 częściami wody destylowanej, filtruje po upływie 24 godzin i zlewa w butelkę.

— **Pranie rękawiczek.** W karnawale zużywa się dużo jasnych rękawiczek, podajemy więc sposób ich prania. Białe glansowane rękawiczki kładzie się na ręce i czyści gąbką w mleku zmaczaną, potem wyciera się czystym ręcznikiem i przyciska na kilka godzin ciężkiemi książkami. W benzynie prać nie radzimy, raz dla jej zapalności, a powtóre dla niemiłej woni. Kolorowe glansowane rękawiczki kładzie się na ręczniku złożonym w kilkoro i wziąwszy kawałek flaneli, macza się ją w mleku, potem w szarem mydle i wyciera rękawiczkę, póki nie będzie czysta. Rękawiczki duńskie pierze się w rozpuszczonem mydle z mlekiem i salmiakiem, a potem posypuje otrębami, ażeby były miękkie i elastyczne. Jedwabne rękawiczki pierze się w ciepłej wodzie z mydłem, płócze w zimnej, a potem prasuje między dwoma ręcznikami.

— **Skórę nieprzemakalną** tym sposobem można zrobić, że topi się nad ogniem 100 gramów wosku, 60 gramów żywicy, 250 gramów łoju i pół litra lnianego oleju, mięszając wszystko jak najdokładniej. Mięszaniną tą naciera się w stanie ciepłym, lecz nie gorącym skórę, bacząc na to, aby jak najobficiej nią przesiąkła. Przy obuwiu należy natrzeć także podeszwę i szwy, najlepiej zaś, jeśli zaraz nowe obuwie masą tą starannie napuścimy.

— **Aby zapobiedz gniciu patyczków** używanych jako podpórki do kwiatów należy je namoczyć przez 24 godzin w roztworze 50 gramów siarkanu miedzi lub siarkanu żelaza w 1 litrze wody. Następnie wysuszyć je i wymoczyć przez 24 godzin w wodzie, w której rozpuszczono palone wapno. W ten sposób przyrządzone podpórki mogą kilka lat stać w ziemi, a nie zgniją.

— **Odróżnić wyrób żelazny od ocelowego.** Na przedmiot poddany wypróbowaniu trzeba wylać kilka kropel kwasu saletrzanego (salpetersäure). Po minucie miejsce kwasem zalane zmyć wodą: jeżeli przedmiot jest z żelaza, to będzie na nim pla-

ma biało-szarawa, jeżeli zaś z oceli, plama czarna.

Rozmaitości.

* **Najwspanialszy dywan.** South Kensington Muzeum nabyło teraz dywan z meczetu ardebiskiego, uchodzący za jeden z najpiękniejszych dywanów wschodnich, znanych Europejczykom. Ma on 10,6 metrów długości i 5,33 szerokości. Można powziąść wyobrażenie, ile kosztował pracy, z tego, że mamy tam 33 milionów »punktów«, wykonanych ręcznie. U góry w obwódce widać napis: »Nie ma innego schronienia na świecie nad twoją siedzibę. Głowa moja nie ma innej osłony nad dach twój « Robotą niewolnicy miejsc świętych Maksoud z Kosken z roku 942 (1535 ery chrześciańskiej).

* **Wyzyskanie sądów.** Niezły użytek robią Lapończycy z sądów przysięgłych, wprowadzonych bez należytego uwzględnienia warunków miejscowych i stopnia oświaty. Oto banda złodziejów zmówiwszy się odpowiednio, oskarża jednego ze swoich o kradzież renifera. Sędzia skazuje go na jeden dzień kozy, opryszek apeluje do sądów przysięgłych i podaje świadków. Z odległych okolic kraju jadą świadkowie i rzecz prosta, otrzymują od sądu odszkodowanie za stratę czasu. W ten sposób jedna skóra renifera kosztuje państwo do 6000 koron. Po skończonej sprawie któryś ze świadków popodejmuje się znowu roli złodzieja i tak dalej.

* **Sposób na upały.** Szczęśliwi obywatele w San-Louis (w Ameryce) w czasie europejskich upałów w domach swoich mają temperaturę prawdziwie wiosenną. Jedna z przedsiębiorczych kompanii urządziła w niektórych miastach Stanów Zjednoczonych system rur, z krążącą w nich parą wodną, za pośrednictwem której abonnenci mogą ogrzewać swoje mieszkania. Z kolei zrodziła się myśl, ażeby tak jak ciepło sprzedawać i... zimno. W tym celu przez gotowe już rury, służące w zimie do ogrzewania, przepuszczają rozcieńczony amoniak. Powietrze, które się styka z ochładzającą cieczą, wchodzi do pokojów, wskutek czego temperatura obniża się o 10 do 15-tu stopni. Z początku system taki był praktykowany tylko w głównych hotelach, restauracyach oraz w rzeźniach dla zachowania w świeżości. Obecnie w San-Louis wyrabiają środka ochładzającego taką ilość, iż równa się on 43 tys. tonom lodu. Widzicie więc z tego, iż zniżenie temperatury w mieszkaniach podczas upałów, nie jest znowu tak trudnem. Potrzeba tylko zaprowadzić w danem mieście system ogrzewania lokalów parą, a następnie w lecie zamiast pary wodnej zastosowywać rozcieńczony amoniak. Można także (co nawet daleko jest łatwiejszym) postawić w kącie pokoju naczynie z takiem rozcieńczonym amoniakiem. Zapach, co prawda, nie będzie należał do najprzyjemniejszych, ale cel obniżenia temperatury pokoju o kilka stopni z pewnością będzie osiągnięty.

* **Z Syamu.** W ciekawy sposób radzą sobie podobno sędziowie syamscy w takich sprawach, w których nie mają świadków. Oto sędzia obu stronom zwaśnionym każe pogrążyć się w wodzie. Kto dużej pod wodą zdoła pozostać, ten sprawę wygrywa. Pewien kupiec z Bangkoku, wielce do pieniactwa skłonny, ale zbyt stary, aby mógł w owych wodnych próbach odnosić zwycięstwo, kazał nauczyć syna swego sztuki nurkowania i w dość krótkim czasie przy pomocy sądów doszedł do znacznego majątku.

* **Takie reguły** dla rzemieślników i przemysłowców podaje »Chemn. Tagbl.« »Rozpoczynaj interes od małego. Spraw do warsztatu najlepsze narzędzia. Nie kupuj nigdy więcej, niż potrzebujesz. Nie podpisuj weksli. Razem z odstawioną robotą poślij rachunek. Tego, który ci w przeciągu trzech miesięcy rachunku nie zapłaci, oddaj sądowi. Chowaj pod klucz wszelkie zapasy warsztatowe. Pozostań w warsztacie, dopóki twój personał tam pracuje. Staraj się
o porządnych i sumiennyc
ladników, a wynagradza
przyzwoicie. Z warsztatu
waj tylko taką robotę, k
wstydu nie zrobi. Nie pr
zamówienia, na którem
nie możesz. Dotrzym
twoim odbiorcom. Bąd
kowanym w jedzeniu
Kładź się rychło na s
i rychło wstawaj. Do pr
stępuj ochoczo i z zami

* **Płodność ryb** do
bajecznych niemal r
śledź naprzykład skład
jaj; stynka 38,000; lin 3
karp 342,000; makrela 5
okoń 992,000; sola 1,000,0
1,300,000; flądra 1,35
siotr 3,000,000. Najpłod
ze wszystkich jest stokfisz
jaj, jaką składa wynos
jednych naturalistów 3,
Podług innych dochodz
dziewięciu milionów. O
że gdyby setna część
danych przez łososia wy
ryby i potomstwo ich
w tym stosunk, to w
liczba łososiów nie pom
się we wszystk wodac
łym świecie.

* **Indye . Ameryka** są
szmaragdu, tego kamie
lonych c błyskach,
zachwyt wzbudził w
kiedy po raz pierwszy
do Peru. Kolumbia
ich dostarcza, a najbog
palnią od niepamiętnyc
jest Muzo, z której wyd
rocznie 500,000 karató
ragdów. Dotąd ona w
niemal zaopatrzała świa
w szmaragdy, teraz jedna
kryto drugą w pobliżu k
Jacobi, równie bogatą ja

* **Krajem najbogats**
konie jest Rosya, najwię
zaś chowają kozacy. W
posiadali oni razem
koni, co wynosiło prz
37 sztuk na 100 mie
Nad Bajkałem najliczn
tyka się stadniny; ta
koni jest większą niż
ców, bo na ich stu przy
koni. Nad Uralem i
kozacy chowają ogromn
jak również nad Kuba
rekiem i Donem.

* **Hygiena włosów.** Specyalista dr. Rudolf Lessner ogłosił niedawno broszurę o hygienie włosów. Streścimy ją pokrótce: Klęska łysienia dotyka przeważnie sfery inteligentne, co zresztą zgadza się z brzmieniem trywialnego nieco przysłowia: »Głupia głowa nie łysieje.« Niestety, orzeczenie to, wymyślone prawdopodobnie przez łysego, niczego nie dowodzi. Jeżeli bowiem Szekspir był łysy, jak kolano, to Goethe za to do końca życia zachował lwią grzywę.

Włościanie, używający do woli powietrza i słońca, rzadko łysieją. Jak zapewnia Lessner, przyczyna tkwi głównie w różnicy traktowania włosów przez ludność miejską a wiejską. Wieśniak nie zna, co to żelazko do fryzowania, a z nożycami spotyka się rzadko. Zdaje się nawet, iż zbyteczne pieszczenie włosów nie wychodzi im na dobre. Najlepszym dowodem cyganie, którzy w wędrówkach swych nie wiele chyba mają czasu na trefienie się, a jednak piękne do późnej starości zachowują włosy. Kobiety również rzadziej niż [illegible]żczyźni łysieją, długie bowiem [illegible] są trwalsze od krótkich. Swo[illegible]ie rosnące włosy mają daleko zdrowsze i silniejsze cebulki, podczas gdy krótkie i raz po raz strzyżone są niezmiernie łamliwe i do wyrwania łatwe. Powietrze zresztą, zbyt łatwo przy krótkich włosach dochodzące do cebulek, szkodliwie wpływa na ich trwałość. Artyści np., lubujący się w długich włosach, rzadko kiedy doświadczają klęski wczesnego łysienia.

Co najważniejsza, kobiety nie uczęszczają, a przynajmniej uczęszczają rzadko do razur i zakładów fryzyerskich, w których cały świat czesany bywa jednym i tym samym grzebieniem, cały świat gładzony jedną i tą samą szczotką, tak iż zdrowe i chore włosy są nieustannie ze sobą w pośredniem dotknięciu.

Przypiekanie włosów jest jedną z najczęstszych przyczyn łysienia. Dotknięcie rozgrzanego żelaza sprawia, iż włosy stają się suchemi, łamliwemi łatwo wypadającemi. Zresztą przyczyna łysienia jest często niewytłómaczoną. Ma tu wpływ ważny i dziedziczność.

Łysina zaś, prócz względów estetycznych, ma i hygieniczne znaczenie. Z niej to powstają bóle głowy, migreny, newralgie itp. dolegliwości, które tak często trapią ludzi, pracujących umysłowo. Przy upowszechnionym zwyczaju zdejmowania czapki przed pierwszym lepszym znajomym, spotkanym na ulicy, łysi w czasie mrozów narażani bywają co chwila na zaziębienie.

* **Nabywcy wulkanu.** Jak donoszą z Meksyku, utworzył się tam związek kapitalistów amerykańskich w celu nabycia położonego w pobliżu Puebli wulkanu Popo-catepetl. Związek zamierza aż do krateru góry doprowadzić kolej elektryczną dla przewozu siarki i lodu. Krater wulkanu posiada olbrzymie pokłady siarki i to w najlepszym gatunku. Obecny właściciel góry korzystał z pokładów tych w drobnych tylko rozmiarach, dostarczając siarki jedynie fabrykom prochu dla armii meksykańskiej.

ŻARTY.

To zależy.

Podróżny (wychodząc z wagonu): Jak długi przystanek?

Szafner: Jeżeli pan ma spust dobry, to na dwa kufelki wystarczy.

Tanie kupno.

Franek: Walek, co kosztuje twa nowa czapka?

Walek: Nie wiem.

Franciszek: Jakto, nie wiesz?

Walek: A no tak, bo kiedym ją kupował, czapnik — spał.

Mądry Bartłomiej.

— Cobyś też zrobił, Bartłomieju, gdybyś wygrał wielki los na loteryi... kupę pieniędzy?

— Już jabym wiedział, co zrobić.

— Ale przecież?

— A jużci jednego talara zarazbym wzion i przepił, a resztę zakopałbym w takiem miejscu, żeby nawet moje prawnuki nie znalazły.

Tajemnicze posiedzenie.

— Mój mężu, powiedz mi, co wy tam radzicie na owych posiedzeniach, które się częstokroć przeciągają do rana?

— Ach moja duszko, obrabiamy sprawy tak wielkiej wagi — że nawet przed tobą muszę je trzymać w tajemnicy.

Zagadki z nagrodami.

1.

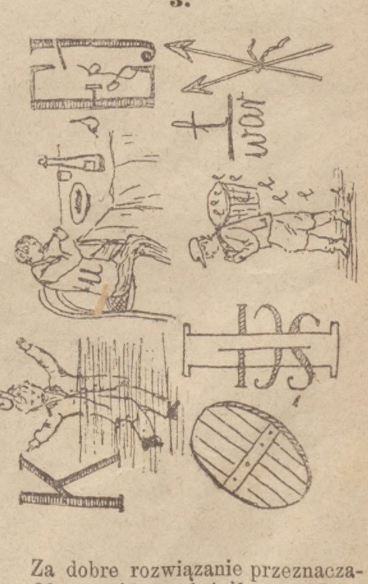
1
.
.
.
12 18
.
.
.
.
19 23
24 30
31 39
11

W miejsce punktów poustawiać podług wzoru litery, aby wyrazy oznaczały: Od 1—11 imię słynnego malarza polskiego. 12—18 rodzaj wagonu. 19—23 zwierzęta rogate. 24—30 splot włosów. 31—39 rzekę w Ameryce północnej.

2.

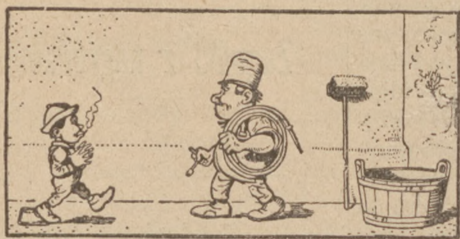
Drugie i trzecie,
Jak chcecie:
Albo to będzie
Narzędzie,
Albo gdy macie
Ochotę,
To ją uznacie za cnotę.
Pierwsze okrągłe,
Trzy razem
Braku są ciągle
Obrazem

3.

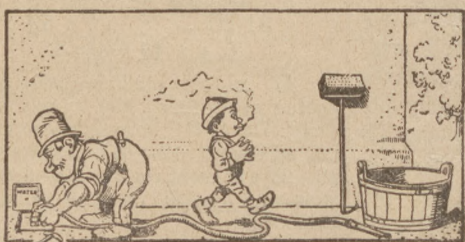


Za dobre rozwiązanie przeznaczamy 20 nagród w książkach. Rozwiązanie należy nadsyłać najpóźniej do końca Listopada.

Figiel Wicka.



Pan Jakób, odźwierny wielkiego domu w mieście, lubił bardzo porządek. Pewnego dnia postanowił oczyścić podwórze i dla tego zabrał ze sobą szczotkę, wanienkę i węża, jakiego używają do sikawek, aby nim nabrać



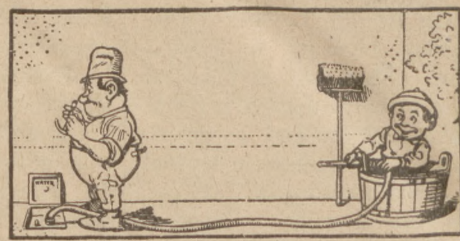
wody z wodociągu, i udał się na ulicę. Tejże chwili przechodził właśnie Wicek, syn sąsiada pana Jakóba, wielki wisus, kopcąc papierosa, choć, jak to mówią, miał jeszcze mleko na brodzie. Wickowi tkwiły tylko



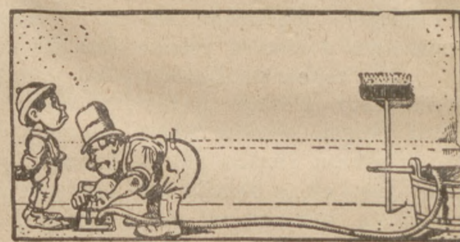
same figle w głowie, a już panu Jakóbowi, jak mógł, to się chętnie psocił. Przeszedł koło niego, jakby go nie widział, ale już miał figiel gotowy. Pan Jakób przykręcił jeden koniec węża do wodociągu, a drugi wziął



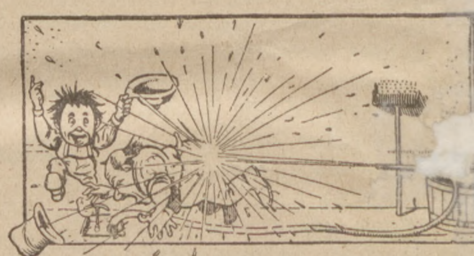
w rękę, aby się woda nie rozlała, a tu wody nie widać! Co to może być, — pomyślał sobie, — czym nie odkręcił dobrze kurka, czy co! Trzeba zobaczyć! — i udał się do wodociągu. Na to tylko czyhał ukryty



za rogiem domu Wicek. Wybiegł szybko z ukrycia, przetknął mosiężny koniec węża przez ucho wanienki, a potem z minką najniewinniejszą stanął przy panu Jakóbie. Ten przekonał się tymczasem naocznie, że



dziurka klucza była zanieczyszczona, wydmuchał więc ją i wyczyścił, a potem zakręcił kluczem silniej niż przedtem. Tym razem otworzył zupełnie wodociąg, woda buchnęła strumieniem — i naturalnie skutkiem



figla Wickowego uderzyła wprost na pana Jakóba, który z przerażenia padł natychmiast na ziemię, jakby go z nóg ściął. Wicek aż skacze z radości, — ale poczekaj, Wicku, pan Jakób ci tego nie podaruje!

Wydawnictwo „Katolika“

poleca

Trzydzieści jeden nauk podług oficyum Małego Najśw. Maryi Panny. Napisał ks. Euzebiusz Stephan. Cena za pojedyńczy egz. 40 fen. z przes. 43 fen.

Nabożeństwo do św. Antoniego Padewskiego. Napisał ks. Euzebiusz Stephan. Cena egzemplarza 35 fen. z przesyłką 38 fen.

Żywot św. Alojzego (z ryciną tegoż świętego). Cena 15 fen. z przesyłką 18 fen.

Żywot św. Stanisława Kostki (z obrazkiem 10 fen. z przesyłką 13 fen.

Żywoty św. Jadwigi, bł. Kunegundy, Jolenty, Salomei, (z obrazkiem) 10 fen. z przes. 13 fen.

O przyzwoitości chrześciańskiej. Nauka dla wszystkich stanów, mianowicie dla młodzieży. Cena egzemplarza 10 fen. z przesyłką 13 fen.

Zamawiać można pod adresem: **Wydawnictwo „Katolika“ w Bytomiu G.-Szl.** (Beuthen O.-S).

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.

„**Znak**“, uprawniający do uczestniczenia w losowaniu o nagrody za dobre rozwiązanie zagadek z Nr. 19-go „Światła“ 1893 roku.